

## Z „ciemnych dni” Łodzi.



W dniach 26, 27 i 28 stycznia br. odbyły się w Łodzi i najbliższej okolicy wielkie ćwiczenia przeciwlotniczo-gazowe, mające na celu sprawdzenie stopnia przygotowania ludności w dziedzinie opl. W dzień i w nocy, gdy Łódź tonęła w nieprzejrzanym ciemnościach, rzucono na szereg obiektów przemysłowych i mieszkalnych oraz na ulice petardy, bomby zapalające i gazowe, markując w ten sposób prawdziwy nalot bombowców nieprzyjacielskich. Organa opl zorganizowały obronę miasta przy współudziale całej ludności, której część otrzymała rolę wybitnie czynną, wywiązując się z niej znakomicie. Nasz fotomontaż przedstawia kilka ciekawych fragmentów z łódzkiej „wojny” przeciwlotniczej. Widzimy w nim: 2 wybuchy bomb, 2 momenty pracy oddziałów ratowniczo-sanitarnych i policjanta pełniącego służbę w masce gazowej.



Fotomontaż z niezwykle ciekawego filmu „Purytanin” z Jean Louis-Barranet w roli głównej. Wyświetla kino „Casino”

Fot. Patria-film.

Eugeniusz Frackiewicz.

## OSTATNI MOHIKANIN.

Od czterdziestu lat przeszło Tomasz Lis był dozorcą drewnianego do mu piętrowego, okolonego parkanem, tragicznie chyłącym się ku ziemi. Lis był wzrostu średniego, krępy, chodził sprężysto jak wojskowy mimo lat swych podeszłych i stale z fajką w ustach, ofiarowaną mu w przystępie dobrego humoru przez dziedziczkę; tak zawsze tytułował swą chlebobawczyń. Dom był nędzny, strasznie odrapany; widocznie czas niemiłosierny wycisnął piętno starości i zbliżał do kresu wędrówki. Zewnętrzny wygląd domu w zupełności odpowiadał wewnętrznemu wyglądowi lokali, zresztą nielicznych, zajmowanych przez najbardziej przez los upośledzonych wyrobników. Zabiegi lisa o remont do mu i lokali nie odnosiły pożądanego skutku, a więc jak mógł latał kawałka mi desek i dziury zalewał „cymmentem”. Otaczał go wprost ojcowską opieką, hołubił jak matka swe najmłodsze. Podwórko niezbyt rozległe, upstrzone, gdzieś tam dokoła wyrosły coś w kształcie kwiatami dopełniało całości tego smutnego pejzażu na najdalej wysuniętej rubieży miasta. Chodził z dziwnym jakimś namaszczeniem, od czasu do czasu zerkając na dom i uśmiechał się z zadowoleniem. Zmęczony lustracją swego królestwa stawał z nie rozłączną fajką w ustach przed parkanem i przyjaźnie rozmawiał z sąsiadami, poruszając nieraz swym chłopskim rozumem zawile problemy polityki.

Aż kiedyś z rozmowy wyszło, iż po wojnie miasta zaczynają się odbudowywać i przeprowadzają regulację. Ogar nął go niepokój.

„A to może i ten dom drewniany, to jego najmłodsze dziecię zniknie z powierzchni” rozmyślał Tomasz Lis. I od tej chwili stale był jakiś zamyślonny, niespokojny, jakby czegoś wyczekiwał. Aż dnia pewnego, jak grom z jasnego nieba, spadła na niego wiadomość o usunięciu domu wraz z parkanem, gdyż tędy właśnie wytyczona została ulica. Lokatorzy domu otrzymali nakaz opuszczenia mieszkań. Wiadomość ta wstrząsnęła nim do głębi, zgarbił się, twarz stała się ziemistą — to nie był już człowiek z tego świata, to raczej było wspomnienie człowieka



Min. von Ribbentrop w towarzystwie min. Becka i ambasadora von Moltke u Naczelnego Wodza, Pana Marszałka Śmigłego-Rydza.

Nadomiar złego w międzyczasie umarła mu żona i córki, pozostał samiuteńki ze swą tragedią. Coraz częściej wstawał przed parkanem coś uporczywie wypatrując. I stojąc tak kiedyś, zobaczył zbliżającą się gromadę ludzi z łopatami i siekierami. Tomasz Lis nie wierzył swym oczom. Ludzie, zatrzymali się tuż, przy nim! Po chwili jeden z gromady, widocznie starszy,

dał znak by przystąpili do rozbiórki domu. Tomasz Lis patrzył nieprzytomnym wzrokiem jak dzieło czterdziestu lat ginęło pod uderzeniem siekiery. Ostatnim wysiłkiem martwiejącej woli wyciągnął nabrzmiałe, spracowane ręce, ryknawszy nieludzkim głosem „nie dam” i martwy runął na górę desek. To był ostatni mohikanin na tej najdalej wysuniętej rubieży miasta!



Min. von Ribbentrop w towarzystwie min. Becka na wystawie „Warszawa Wczoraj i Dziś i Jutro” w Muzeum Narodowym.

# Rendez-vous na Bazarach.



Księgarnia pod gołym niebem.

Bazary — to magiczne słowo, znane ludziom z przedmieścia, punkt zborny wszelkiego rodzaju wydrwigroszów magików, „kupców” szarlatanów i oszustów. Człowiek okradziony, o ile posłucha rad „wtajemniczonych”, udaje się pośpiesznie na Bazary, chodzi, przepatrzuje, rozgląda się, a na pewno jeżeli nie w jedną sobotę to w drugą znajdzie na półkach starych kramików swe własne rzeczy. Czego tutaj nie można kupić: poczynając od skarpetek do „wytwornego” futra za dziesięć złotych.

Co krok sklepy i kramy z rozłożonym towarem. Bałucy „Wolworciarze” potworzyli tutaj „magazyny”, w których każda rzecz kosztuje „tylko dziesiątkę”.

— Do wyboru, do wyboru, lusterko czy pudełko z szuwaksem! Brzytwa czy pasek — wszystko za dziesiątaka! — drą się w niebogłosy „kupcy”.

Przed kramami tłumy ciekawych w narciarskich czapkach. Dotykają każdej rzeczy, sprawdzają, próbują.

Nieco dalej, na uboczu rozłożyły się „księgarnie pod gołym niebem”. Sprzedawca czuwa bacznie nad porozkładanymi foliami. „Za jedne pięćdziesiąt groszy można kupić powieść grubą lub cienką, tylko kupować przedko! Za jedne pięćdziesiąt groszy czytania na cały rok”. Barbara Ubryk, Kartusz i Rinaldo Rinaldini leżą obok Dickensa czy Wiktora Hugo. Adam Mickiewicz wśród egipskich senników. Jest nawet Słowacki, ale podobno tego ktoś kupił kiedyś i zwrócił. „Wielka poezja” nie idzie tutaj, zato Wallace, opowieści o cowbojach, o bandytach idą masowo.

Tuż obok słychać przeraźliwe szczekanie i wycia. W obszernym podwórku targ na psy. Gwar, krzyki, piski, aż uszy puchną. Sprzedawcy zachwalają swoich pupilów na głos. Rozgrywają się walki psów: który silniejszy!

Na boku jakiś podejrzany jegomość obmacuje tłustego buldoga. Właściciel nie chce pertraktować.

— Na śmalec nie sprzedam! To kochany pies!

— Ale — odpowiada amator — a suchoćniki to nie chcą żyć? Dam panu za buldoga po półtora złotka za kilo żywej wagi!

Odechodzimy. Na przyległej posesji gruchania setek i tysięcy gołębi. Tutaj słynni bałucy gołębiarze kupują, sprzedają, zamieniają srebrniaki, pocztowce, gariacze, nosacze i kto wie jakie rasy gołębi. Obok setki klatek z kanarkami. Tam dalej znów akwaria pełne złocistych rybek. Dalej grają patefony, aż się rozlega. Stare trąby gramofonów „przedwojennych” ryczą w niebogłosy. „Znawcy” skłonni do kupna nadstawiają ucha. Ten i ów przytupuje w takt skoczno oberka. A wśród tego tłumy różnorodnego, gwarne, rozkrzyżowanego uwijają się kobiety w watawanych opończach, krzycząc: — Bober gorący, bober gorący — na szklanki, na filiżanki, tylko kupować i smakować!

Najwięcej jednak ludzi zgromadziło się obok „agitatora czekoladowego”. Pan Szymański to poeta o głosie Stenora. Krzyczy, zachłystuje się, agituje.

— Azja, Ameryka, Afryka! Murzyn kozły fika! — krzyczy poeta. — Kto kupi łos dostanie coś! Oto jest czekolada, że proszę siadać. Za łos tylko dziesiątkę, handlarzowi na pamiętkę!

Jeszcze żaden poeta tak nie imprezował w obliczu rozkrzyżowanych tłumów. Pan Szymański podrzuca kapełusz, wspina się na beczkę i deklamuje bez przerwy, aż mu żyły na szyi krwią nabiegają od wysiłku.

— A to proszę państwa do tej czekolady, która w sklepie kosztuje złotych, a u nas tylko dziesięć groszy, dodajemy jeszcze drugą czekoladę, a do tej drugiej trzecią. Słowa sypią się



Targ na gołębie.



„Agitator czekoladowy”

jak z rękawa — agitator czekoladowy trzyma już teraz całą naręcz czekoladowych paczek. Ludzie lykają ślinę i kupują pośpiesznie łosy. Potem ruletka kręci się i ktoś dostaje stos bloków czekolady. Ucieka coby prędzej do domu, by sprawić ucztę najbliższym.

— Azja, Ameryka, Afryka — rozpoczyna się drugi akt agitacji. Tłum rośnie. Ludzie wyciągają z kieszeni dziesiątki i kupują łosy.

Gwar na rynku nieopisany. Wszystko tu kupić można. I zegar stojący i budzik grający. Kogo do samochodu i rower. Futro i „bieliznę watawaną”. I skarpetki za dwadzieścia groszy i buty za dwa złote. Tłumy kręcą się we wszystkich kierunkach, przekupnie zachwalają towary.

I o dziwo, na Bazarach, na tak zwanym kiedyś „Rynku Tanfaniego” widać w soboty, (bo targi odbywają się tutaj wyłącznie w soboty, do zmroku) nawet żydowskich kupców ze starówki. Pozadrościli widocznie panowie w angielskich obfitych zyskach kramarzom polskim i handlują także w soboty, nie bacząc na szabas.

Na bazarach zbierają się „obywatele” przedmieść Łodzi na rendez-vous tygodniowe. Tutaj młode pary zaopatrują się w „złote” obrączki. Tutaj „stają” się ślubne suknie. Tutaj wypożycza się eleganckie fraki i smokingi na weseliska. Ruch, gwar, trwa przez cały dzień. Jedne tłumy odpływają, inne nadchodzą. Garnie się tutaj biedota, która sprzedaje z nędzy ostatni dobytek, garną się i ci, którzy tanio chcą nabyć pewne rzeczy. Przychodzą złodzieje ze zrabowanym mieniem i przychodzą ciekawi, by się napatrzeć i na słuchać magików wydrwigroszów, szarlatanów, „doktorów” i sztukmistrzów, produkujących się w jakimś szale niebywałym, pośpiesznie, bo dzień zimowy jest przecież tak krótki. H. Rud.

**KASY — WMURÓWKI — KASETKI**  
poleca Fabryka Kas Ogniotrwałych i Maszyn  
**Karol Zinke**  
ŁÓDŹ  
Przejazd 16  
Tel. 224-19

## Sto miliardów filiżanek herbaty.

Przedruk wzbroniony.

Od własnego korespondenta.

Londyn, w lutym.

Przed trzema tygodniami, dokładnie 10 stycznia 1939 roku o godzinie 11 rano przeciągał ulicami Londynu niezwykły orszak. Orszak ten wyruszył z portu nad Tamizą w kierunku Toweru. Na przodzie orszaku, na olbrzymim słonie, jechał słynny poganiec Sabu, znany światu z licznych filmów orientalnych. Za nim kroczyły dwa pozostałe słonie, obładowane wielkimi skrzyniami, zawierającymi herbatę. Orszak zatrzymał się w Mincing Lane — słynnym centrum światowego handlu herbatą. Tutaj orszak został przyjęty przez lorda-majora Londynu. W wielkiej sali „gieldy herbacianej” zebrał udział co najznamienitsi obywatele Londynu i wielcy kupcy herbaciani, którzy z zainteresowaniem przyglądali się czynnościami lorda-majora.

Gospodarz miasta nad Tamizą w uroczysty sposób dokonał opieczętowania srebrnej skrzyni, zawierającej najdoskonalszy gatunek herbaty na świecie.

Herbatę tę dobierali specjaliści branży herbacianej, najwybitniejsi smakosze herbaty z całego brytyjskiego imperium.

Po wielu debatach i próbach ustalono wreszcie mieszankę, która została zapakowana do srebrnej skrzyni.

Ta właśnie mieszanka ma czekać sto lat na użycie jej przez przyszłych mieszkańców Londynu. Dokładnie dnia 10 stycznia 2039 roku o godzinie 11 rano lord-mayor Londynu dokona uroczystego otwarcia srebrnej skrzyni, wydobędzie z niej herbatę a wszyscy ówczesni obecnie skosztują wiekowego napoju.

Podobną skrzynię „najlepszej herbaty świata” otrzymał król Anglii.

Niezależnie od tego, jakie będą losy herbaty, przeznaczonej dla przyszłych pokoleń, warto obecnie przypomnieć, że Anglia święci stulecie herbaty we własnym kraju. Dokładnie dnia 10 stycznia 1839 roku trzy słonie indyjskie przewiozły ulicami Londynu sześć skrzyń herbaty indyjskiej do dzielnicy Mincing Lane. Od tego to właśnie momentu datuje się olbrzymi ruch w branży herbacianej na wyspach Wielkiej Brytanii. Jest to godzina narodzin angielskiego handlu herbacianego, dzień w którym rozpoczęli Anglicy pić herbatę masowo.

Naturalnie, herbatę w Anglii znano już dawniej, lecz była to herbata chińska, bardzo droga, tak że pić ją mogli jedynie ludzie najbogatsi.



W dniu 26 stycznia Marszałek Śmigły-Rydz przyjął delegację służby łączności z dowódcą wojsk łączności na czele, która wręczyła Mu imieniem wszystkich oddziałów wojsk łączności rzeźbę dłuta prof. Kuny, przedstawiającą żołnierza z meldunkiem.

A tymczasem od lat tysięcy herbata rosła w Indiach. Przez kilkadziesiąt lat dochodziły słuchy o jakiejś roślinie rosnącej masowo na terenie Assamu. Opowiadano sobie na ucho, że krajowcy assamscy piją jakiś dziwny napój, bardzo orzeźwiający i zdrowy. Pomocny nawet w niektórych chorobach. Jednakże podróż do Assamu trwała wówczas całe miesiące, poprzez kraj pełen dzikich zwierząt, poprzez dżunglę, rojącą się od gadów jadowitych i krwiożerczych ludzi.

Wkrótce jednak sprowadzono do Kalkuty ową dziwną roślinę. Uczniowie botanicy angielscy orzekli, że ma się tutaj do czynienia z pewnego gatunku

chwastem, nieużytecznym dla człowieka. Wkrótce jednak przekonano się, że jest to doskonały gatunek herbaty.

Przepowiadano jednak, że indyjska herbata nie przyjmie się w Europie i poszukiwano innych dróg dla zaprowadzenia plantacji krzaków herbacianych.

Tymczasem Chiny strzegły „tajemnicy krzaków herbacianych”. Nie było wolno wywozić nasion ani krzaków za granicę. Szmugiel roślin herbacianych opłacany był śmiercią niejednokrotnie.

W końcu udało się przeschmuglować do Indji kilkanaście krzaków herbaty. Niestety herbata chińska nie przyjęła się na terenie indyjskim i próby zawio-



Cmentarz weteranów z 1863 roku na Powązkach.

dły. Siedemdziesięciu pionierów kolonialnych którzy przedsięwzięli te próby — zmarło bądź na malarię, bądź od ukąszeń jadowitych węzów. Eksperymentów tych zaniedbano.

I oto Szkot Karol Bruce wyrusza do Assamu — po dziwny napój krajowców. Udaje mu się uzyskać pierwszy transport, który właśnie dnia 10 stycznia 1839 roku przewieziony został z portu nad Tamizą do dzielnicy Mincing Lane, właściwie będącej wówczas ciasną uliczką. Tutaj wkrótce powstało pierwsze centrum światowe handlu herbatą. Tu rodzi się milionerzy i kupcy na wielką skalę. Tu poczęto ustalać wkrótce ceny na herbatę obowiązujące świat cały.

Pierwszeństwo produkcji herbaty zostało wydarte Chinom. Dziś Indie brytyjskie i Ceylon, również będący w posiadaniu Anglii, produkują rocznie 330 milionów kilogramów herbaty, czyli siedemdziesiąt procent ogólnej produkcji świata.

Dokładnie mówiąc, owe siedemdziesiąt procent produkcji zostaje spożyte w państwie brytyjskim, przez brytyjskich obywateli. „A cup of tea” — filiżanka herbaty — to symbol angielskiego życia. Miliony Anglików, Szkotów, Irlandczyków, Kanadyjczyków, Australijczyków — nie wyobrażają dziś sobie życia bez owej przysłowiowej „filiżanki herbaty”.

Prawdziwy Anglik pije swoją pierwszą filiżankę herbaty jeszcze rankiem w łóżku. Po ubraniu się — następują dwie dalsze filiżanki herbaty, o niepomiernej wprost objętości. Lecz jest to tylko uvertura do dalszego picia. Prawdziwy Anglik co dwie, trzy godziny musi wypić swoją filiżankę! Bez tego nie wyobraża sobie życia!

Urzędnik czy robotnik uliczny, przerwając pracę by w skupieniu pić herbatę. Nie tak dawno w pewnym przedsiębiorstwie wybuchł strajk stu pięćdziesięciu robotników z tego tylko powodu, że dyrekcja chciała znieść „od poczynku herbaciany” w godzinach po południowych! Posunięcie właścicieli przedsiębiorstwa wywołało oburzenie opinii publicznej, która solidaryzowała się ze strajkującymi.

Po załagodzeniu zatargu okazało się, że dyrektor- inspirator owego nieszczęsnego posunięcia nie był rodowitym Anglikiem. On nie mógł zrozumieć o co chodzi! — litowali się nad nim ludzie!

Dzień prawego Anglika kończy się również tradycyjną filiżanką herbaty.

Przeciętny Anglik pije w ciągu roku 1900 filiżanek herbaty podczas gdy w porównaniu z nim taki Amerykanin ze 150 filiżankami, Włoch z 75-ma mogą być nazwani „abstynentami herbacianymi”.



Fragment z przyjęcia, wydanego w Kairze na cześć dostojnych uczestników arabskiej konferencji okrągłego stołu w Londynie. Od prawej: Emir Seif El Islam, następca tronu Yemenu, premier egipski Mohamed Mahmoud Pasza, oraz syn króla Arabii Ibn Sauda, książę arabski Emir Eeissal.

Prawie sto miliardów filiżanek herbaty (według statystyki „dokładnie” 97,500,000,000 filiżanek) wypijają obywatele brytyjskiego imperium w przeciągu roku.

Najwięksi smakosze herbaty żyją na samych wyspach Wielkiej Brytanii. Spożywa się tutaj rocznie około 200 milionów kilogramów herbaty, a więc tyle, ile spożywa pozostała część całej ludzkości — wszyscy mieszkańcy naszego globu.

Herbatę Anglicy piją tylko z mlekiem. Bardzo rzadko używa się do niej cytryny lub rumu.

Jednym z najpopularniejszych przepisów na doskonałe przyrządzenie herbaty jest następujący:

Na jedną osobę bierze się pełną ły-

żeczkę świeżej herbaty. Herbatę zaparza się w gorącej, wrzącej wodzie, przy czym musi ona naciągać pełne cztery minuty. Do filiżanki wsypuje się dwie kostki cukru, na który nalewa się mleka tyle, by cukier był całkowicie z nurzony.

Do mleka leje się następnie esencję, a dopiero do tak przygotowanej filiżanki nalewa się wrzącą wodę.

Znawcy twierdzą, że herbata nie smakuje tak w żadnym z krajów świata, Anglicy zaś są przekonani, że czyni to doskonała woda — jaka znajduje się na wyspach brytyjskich. Gospodynie angielskie zaś twierdzą, że nikt na świecie nie potrafi tak przygotować herbaty — jak one.

Robert Lucas.



Rzeźba słynnego przewodnika i gawędziarza tatrzańskiego Sabaly na pomniku Chałbińskiego dzieło art. rzeźbiarza Malborczyka.

# Nowości

E. Schopen: MORZE ŚRÓDZIEMNE  
ARENĄ DZIEJOWYCH ROZSTRZY-  
GNIĘĆ.

Książnica-Atlas, Lwów— Warszawa.

Morze Śródziemne... Ongiś przed laty tysiącami, prazdrój kultury i cywilizacji europejskiej, cywilizacji Zachodu. Dzisiaj— sfalowana niespokojnie widnia pojedynku dwóch potęg, dwóch imperiów: starego British Empire, co tak niedawno jeszcze panowało niepodzielnie na morzach i oceanach, i młodego imperium Italii, sięgającej po dziedzictwo Rzymu Cezarów. Mare Nostrum — mienili Morze Śródziemne starożytni Rzymianie, mare nostrum uczynić pragnie ze Śródziemnomorza prężny imperializm odrodzonej Italii. Lecz tu napotyka na swej drodze potęgę światowego imperium Wielkiej Brytanii, dla której Morze Śródziemne to najważniejszy odcinek szlaku morskigo, łączącego rozrzucone po świecie dominia i kolonie. Dla Anglii—droga do Indji, tej perły korony brytyjskiej, dla Italii — kwestia jej bytu mocarstwowego. Zmiennie kształtują się w ostatnich dwóch latach stosunki pomiędzy Londynem i Rzymem, momenty groźnego napięcia ustępują miejsca okresom przejaśnienia, deklaracjom przyjaźni, a potem znów zgęszczają się chmury na horyzoncie Morza Śródziemnego, chmury, wieszczące światu nową burzę dziejową.

Ten właśnie centralny dziś problem polityki międzynarodowej, problem Morza Śródziemnego, omawia interesująca książka Edmunda Schopena. W żywym, pełnym swady wykładzie rozważa autor rolę polityczną Morza Śródziemnego w rozwoju dziejowym,



„Żołnierz na wietrze” — obraz pędzla art. malarza Szczepana Andrzejewskiego.



Na zdjęciu uczestnicy tradycyjnego „Opłatka”, jaki dla swych członków zorganizowało w lokalu przy ul. Przejazd 34 Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich w Łodzi.

analizuje wnikliwie istotę aktualnego problemu, wprowadza nas za kulisy gry dyplomatycznej wielkich mocarstw waży szanse pokoju i wojny. Traktuje przy tym zagadnienie Morza Śródziemnego nie w oderwaniu, lecz w łączności z całokształtem polityki światowej, uwidacznia związki, zachodzący pomiędzy wydarzeniami na Morzu Śródziemnym a sytuacją na Pacyfiku, wojną japońsko- chińską — daje syntetyczny pogląd na całość tak dziś powikłanej, w tyłu ogniskach zapalnych grożącej wybuchem sytuacji europejskiej i światowej.

Książkę Schopena powinien przeczytać każdy, kto interesuje się problemami polityki międzynarodowej.

## M. Zakówna: WYCIECZKOWANIE MŁODZIEŻY.

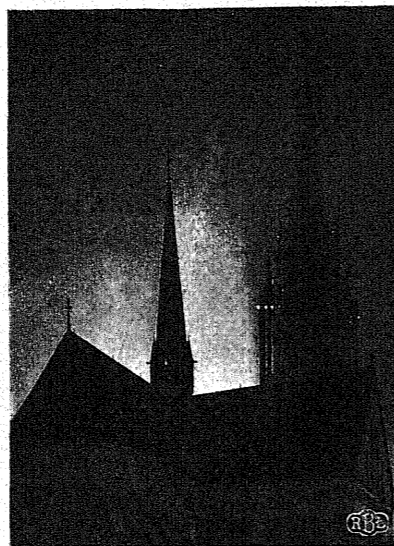
Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa

Wycieczki młodzieży w wieku szkolnym są wynikiem zainteresowań wyniesionych przez ucznia w dużej mierze z lekcji geografii. Zainteresowania te stanowią przede wszystkim dla nauczyciela geografii ważny problem dydaktyczny: są dla niego często potwierdzeniem, jakie dał rezultaty włożony w pracę wysiłek. Oczywiście zainteresowanie wycieczkowaniem jest czynnikiem złożonym, zależnym nie tylko od geografów. Powinno więc stać się w prasie szkolnej zagadnieniem ważnym i celowo prowadzonym przez cały zespół sił nauczycielskich.

Pracę „wycieczkowanie młodzieży” oparto na ankiecie przeprowadzonej w pierwszych klasach szkoły średniej nowego typu. Szło bowiem o stwierdzenie tego, jaką znajomość okolicy i kra-

ju wynosi młodzież ze szkoły powszechnej. Odpowiedzi na ankietę wykazały znikomą znajomość własnego powiatu i województwa. Młodzież nie zna swego terenu, nie styka się z nim na ogół w wycieczkach pieszych, które przecie najbardziej bezpośrednio kontaktują ze zjawiskami.

Praca M. Zakówny usiłuje na podstawie danych liczbowych oświetlić je dno z bardzo żywotnych zagadnień nauczania geografii. Zadaniem jej jest wywołanie dyskusji lub też opracowanie danego zagadnienia dla innych terenów, co z czasem jako wysiłek zbiorowy może postawić zagadnienie wycieczek młodzieży w wieku szkolnym na należytych poziomach.

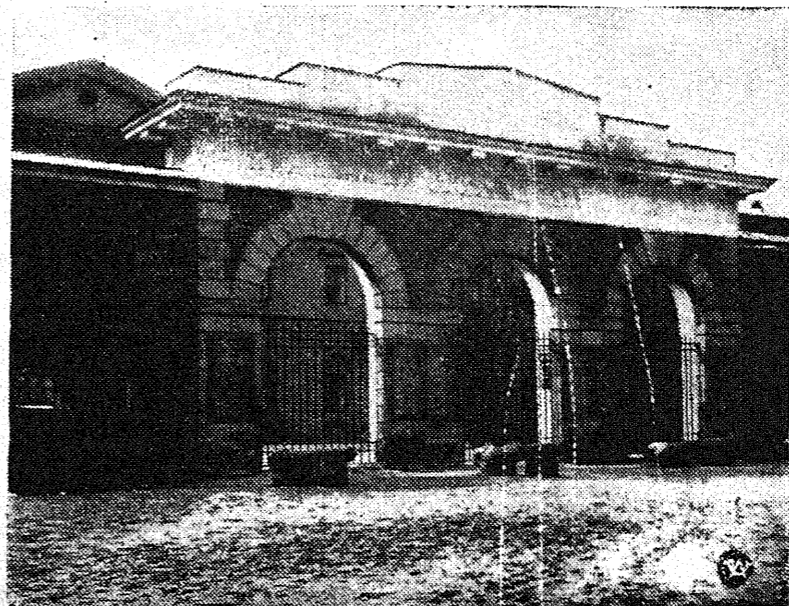


Katedra św. Stanisława Kostki w Łodzi w nocy.

Fot. Włodz. Pfeiffer.



P. Prezydent Rzplitej dr Ignacy Mościcki z zamiłowaniem uprawia sport narciarski.



Brama straceń na Cytadeli Warszawskiej.



Wesoly Kalifornijczyk, udający symbolicznego św. Mikołaja, w stroju kąpielowym rozdziela podarki przedświąteczne, płynące na tratwie.



Na polowaniu. Trofeum myśliwskie P. Prezydenta Rzplitej — wspaniały okaz rysia.



Znakomita artystka dramatyczna, Brigitte Horney w roli Barbary Lorenz w niezwykle fascynującym filmie erotycznym pt. „Przebrzmiąta melodia”.  
Fot. Warszawska K. S. A.

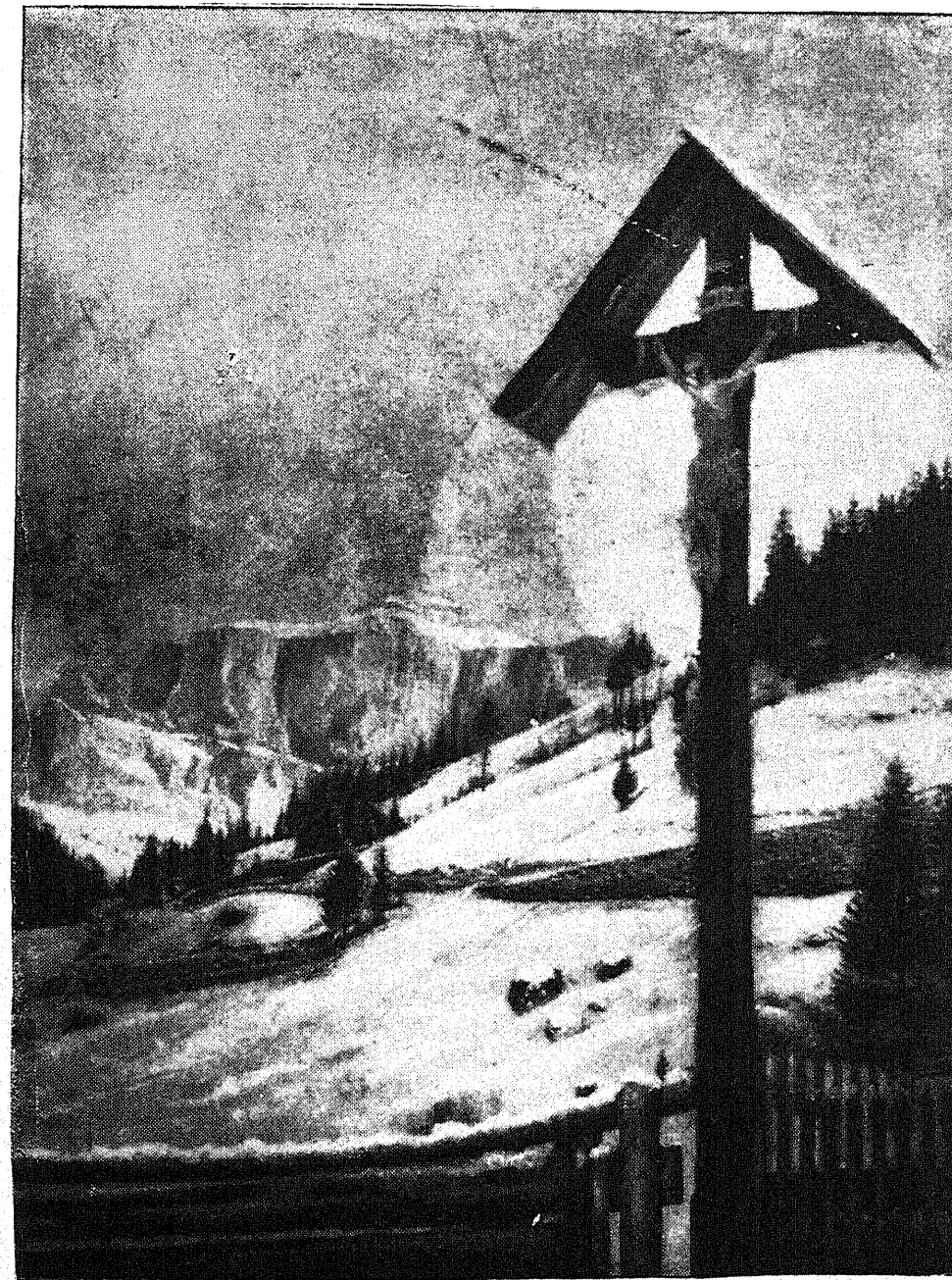


DODATEK NIEDZIELNY DO „KURIERA ŁÓDZKIEGO”.

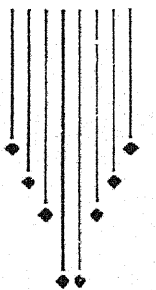
ROK XV.

Niedziela, dnia 12 lutego 1939 roku.

Nr. 6



# Z I M A W GÓRACH.



CUDOWNIE NASTROJOWY OBRAZ  
ZEK ZIMOWY Z GÓR, TCHNĄCY  
POKRZEPIAJĄCYM SPOKOJEM.